

Biuletyn ZNP z 26.X.2020

Decyzja rządu dzieli środowisko nauczycieli W szkołach może zabraknąć nauczycieli Dziś do szkół pomaszerają tylko najmłodszy uczniowie Demonstracja siły ministra Czarnka Zmierzamy ku katastrofie

Biuletyn ZNP z 26.X.2020 Decyzja rządu dzieli środowisko nauczycieli W szkołach może zabraknąć nauczycieli Dziś do szkół pomaszerają tylko najmłodszy uczniowie Demonstracja siły ministra Czarnka Zmierzamy ku katastrofie

Związek Nauczycielstwa Polskiego Decyzja rządu dzieli środowisko nauczycieli 26.10.2020 Dziennik Gazeta Prawna str. 2 Dziennik Gazeta Prawna, autor: Patrycja Otto Zdalne nauczanie wraca do podstawówek. Przedszkola i żłobki rozżalone. Szczególnie że koronawirus zbiera tam coraz większe żniwo. - Od dziś uczniowie z klas 4-8 będą się uczyć z domu. Pomysł dobry, ale spóźniony. Epidemia nie przybrałaby tak na sile, gdyby dyrektorzy od początku września decydowali na własną rękę o sposobie prowadzenia lekcji. A tak mamy do czynienia z próbą gaszenia pożaru - mówi Marek Pleśniar, dyrektor Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty. Dodaje, że w ogóle elastyczność w podejmowaniu decyzji co do zdalnego nauczania byłaby lepszym rozwiązaniem niż narzucanie rozwiązań z góry. Decyzję rządu popiera też ZNP, podkreślając, że była wyczekiwana nie tylko przez nauczycieli, ale też rodziców. Związek żałuje jednak, że nie było czasu na przygotowanie uczniów, przypomnienie im wiosennego trybu pracy. - W piątek odświeżaliśmy wiedzę na temat praktycznych aspektów zdalnych zajęć. Sprawdzaliśmy też, czy wszyscy mają dostęp do potrzebnej infrastruktury, a jak nie, to jak można im pomóc - tłumaczy dyrektorka jednej z podstawówek w Warszawie. - Stan przygotowania szkół w dużej mierze zależy od tego, ile pracy podczas wakacji wykonali dyrektorzy i nauczyciele. Wciąż jednak nie ma na przykład ogólnopolskiej platformy do nauki. Te komercyjne się nie sprawdzają - uważa Magdalena Kaszulanis ze Związku Nauczycielstwa Polskiego. Potwierdza to część nauczycieli, którzy mają problem z obsługą niektórych platform. Kaszulanis dodaje, że są pedagodzy, którzy z powodu zdalnego trybu pracy zdecydowali się odejść na emeryturę. Do tego dochodzi problem braku komputerów u uczniów i nauczycieli czy dostępu do szybkiego internetu. Są jednak szkoły, które deklarują, że sobie poradzą. W niektórych z pomocą przyszły rady rodziców, które sfinansowały na przykład zakup kamerki. Tak było w podstawówce nr 143 na warszawskiej Pradze-Południe. - Kamerki mają ułatwiać nauczycielom prowadzenie lekcji online czy to ze szkoły, czy z domu - mówi jeden z rodziców. - Od czasu pierwszego lockdownu staraliśmy się na bieżąco doposażać szkołę w potrzebny sprzęt, korzystając przy tym ze wszystkich możliwych źródeł - deklaruje dyrektorka innej warszawskiej podstawówki. - Nauczyciele nawzajem się szkolili z dostępu do platform, co było możliwe, gdyż w naszym gronie jest wielu młodych pedagogów - dodaje. MEN również odpiera zarzuty o braku przygotowania szkół. Jak zapewnia, udało się stworzyć elastyczny system kształcenia dostosowany do potrzeb prawie 5 mln uczniów z ok. 24,5 tys. szkół, a także doposażyć je w potrzebny sprzęt. - W ramach projektów "Zdalna szkoła" na zakup urządzeń poszło 367 mln zł. Już wkrótce ruszy też kolejna edycja programu "Aktywna tablica". Jego wartość to ponad 361,4 mln zł, które zostaną przekazane szkołom na zakup laptopów wraz ze sprzętem umożliwiającym przetwarzanie wizerunku i głosu - mówi Anna Ostrowska, rzecznik MEN. Do braku platformy resort się jednak nie odnosi. Wprowadzenie zdalnego nauczania w klasach 4-8 wywołało bunt u nauczycieli niższych klas oraz pracowników żłobków i przedszkoli. Jak mówią, też są narażeni na zakażenie koronawirusem, którego przypadków w ich placówkach jest coraz więcej. Potwierdzają to sanepidy i władze miast. W Inowrocławiu COVID-19 potwierdzono u trzech pracowników żłobków i przedszkoli, a 44 podopiecznych jest na kwarantannie. Podobnie jest w Lublinie, a w Toruniu w przedszkolach publicznych i niepublicznych zakażonych jest łącznie sześć osób i 15 nauczycieli oraz trzy osoby z personelu. W Olsztynie w przedszkolach w kwarantannie lub izolacji znajduje się ponad 30 osób z personelu, a w woj. kujawsko-pomorskim koronawirus zawiesił zajęcia w 29 przedszkolach i ośmiu żłobkach. Dlatego ZNP zamierza wystąpić z apelem o zadbanie o bezpieczeństwo pracowników żłobków, przedszkoli czy klas początkowych w szkołach. - Chodzi o to, by mieli dostęp do maseczek i przyłbic ochronnych i nie kupowali ich za własne pieniądze. By dzieci w szkołach były w maseczkach nie tylko na korytarzu, ale też w klasie - mówi Magdalena Kaszulanis. OSKKO dorzuca jeszcze inny postulat: by żłobki i przedszkola były dostępne wyłącznie dla pracujących rodziców. To pozwoli rozrzedzić liczbę dzieci w placówkach. Poza tym, według OSKKO należy zrobić wszystko, by do tych placówek przychodziły wyłącznie zdrowe maluchy.

W szkołach może zabraknąć nauczycieli 26.10.2020 Echo Dnia str. 4 Echo Dnia Podkarpackie, autor: Beata Terczyńska Nauczyciele uciekają na urlopy dla podratowania zdrowia. Już ponad 300 odeszło na emeryturę. Także ze strachu przez zakażeniem się od dzieci i młodzieży koronawirusem. W niektórych szkołach absencja kadry sięga niekiedy 25 procent. Są przedszkola, w których nie ma kto opiekować się dziećmi. Związek Nauczycielstwa Polskiego co tydzień robi badania ankietowe. - Z tych z ubiegłego tygodnia, które spłynęły od przesów tylko z 59 oddziałów, czyli 45 procent, wynika, że aż 774 nauczycieli i pracowników oświaty

przebywało na długotrwałym zwolnieniu lekarskim. Gdyby to podwoić, wyszłoby ponad 1,5 tysiąca osób - przedstawia alarmujące dane Stanisław Kłak, prezes podkarpackiego okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego. - W ostatnim tygodniu, z danych jedynie z 48 oddziałów, wynika, że na długotrwałym zwolnieniu jest 609 nauczycieli. - Ludzie się boją. Codziennie udzielam porad prawnych dla członków Związku Nauczycielstwa Polskiego. Prawie 79 procent telefonów to pytania, kto może przejść na urlopy na podratowania zdrowia i czy można odejść na emeryturę lub świadczenie kompensacyjne w trakcie roku szkolnego - mówi. Nauczyciel może skorzystać z urlopu na podratowanie zdrowia do 3 lat w ciągu całej pracy zawodowej. Jednorazowo - maksymalnie do roku. Stanisław Kłak dodaje, że 1 września z pracy w szkołach i przedszkolach zrezygnowało na Podkarpaciu aż 424 nauczycieli. Na emeryturę przeszło 317, na świadczenie kompensacyjne - 92. Część z bolącym sercem, bo jeszcze chcieli uczyć i zarabiać, ale strach przed zakażeniem w szkole był większy. Jak sytuacja wygląda w Rzeszowie? Według danych z 16 października w przedszkolach na L4 było 136 nauczycieli na około 800 wszystkich. W szkołach podstawowych - 241, w średnich - 254 na około 3,2 tysiąca wszystkich. Sytuacja ta zmienia się każdego dnia. Na 1405 nauczycieli i pracowników krośnieńskich szkół i przedszkoli na L4 przebywa aż 205 osób, czyli co 6-7. W Przemyślu na około 1200 nauczycieli - na zwolnieniach lekarskich jest 148, czyli co 8. Na urlopowach na podratowanie zdrowia - 33, na kwarantannie -13. W czwartek sanepid podał, że w regionie w 142 placówkach zawieszono zajęcia stacjonarne. Część przeszła całkowicie na zdalne nauczanie, pozostałe pracują w systemie hybrydowym. Najwięcej w powiatach: rzeszowskim - 20 placówek, jarosławskim - 18, krośnieńskim - 14, łańcuckim - 11. Pedagodzy ratują się też urlopami na podratowanie zdrowia. Korzysta z nich około 300 podkarpackich nauczycieli. Dziś do szkół pomaszerają tylko najmłodszy uczniowie 26.10.2020 Nowiny str. 8 Gazeta Codzienna Nowiny, autor: Beata Terczyńska Tradycyjne lekcje w szkołach będą mieli tylko uczniowie klas 1-3. Starsi koledzy pozostaną w domach na nauczaniu zdalnym. Część nauczycieli nie ukrywa, że czekała na taką decyzję rządu, ponieważ coraz więcej było zachorowań wśród rodziców uczniów, dzieci, nauczycieli i pracowników szkoły. Zastanawiają się, czy przynajmniej przez najbliższe dwa tygodnie także nauczanie początkowe nie powinno odbywać się na odległość. W piątek premier Mateusz Morawiecki ogłosił to, czego się wielu spodziewało: po uczniach szkół średnich także ci ze starszych klas szkół podstawowych, czyli klas 4-8 przechodzi na zdalne nauczanie. Jak tłumaczył, chodzi o ograniczenie kontaktów społecznych, zmniejszenie natężenia ruchu w środkach komunikacji publicznej i w rezultacie przerwanie łańcucha transmisji koronawirusa. - To uzasadnienie dotyczy też pewnych badań. Otóż w grupie do 11-12 roku życia poziom zakażeń, przy podobnej liczbie testów, jest trzykrotnie mniejszy, niż w wieku 13-19 lat - mówił. Grażyna Lachcik, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 18 przy ul. Bł. Karoliny w Rzeszowie uważa, że przejście na zdalną naukę starszych klas to bardzo dobra decyzja. - Biję się jeszcze z myślami, czy klasy 1-3 też nie powinny przejść na ten rodzaj nauczania, przynajmniej przez na dwa najbliższe tygodnie. Aby faktycznie wypląszczyć krzywą zachorowań - mówi. - Oczywiście, za tym musiałyby pójść zasiłki i pojawiłyby się problemy, kto zostanie z dziećmi w domu. Ale można by było zorganizować w szkole opiekę nad tymi, których rodzice naprawdę nie mogliby jej zorganizować w domu. Mniejszą grupę uczniów łatwiej byłoby rozproszyć po całej szkole. Nauka zdalna jest już przetestowana? - Tak, ale na pewno przez weekend będzie burza mózgow. Musimy ją jeszcze udoskonalić. Z perspektywy czasu widzimy, jakie błędy popełnialiśmy i chcemy je wyeliminować - przyznaje dyrektor. Na Podkarpaciu w piątek w 154 szkołach i przedszkolach były zawieszono zajęcia lub nauka zdalna. O fatalnej sytuacji w placówkach alarmował ZNP. Na Podkarpaciu są takie miasta, w których co 6, 7, 8 nauczyciel jest na zwolnieniu lekarskim! Ok. 300 nauczycieli korzysta z urlopów dla podratowania zdrowia, a ponad 300 odeszło z pracy na emeryturę. Także ze strachu przed zakażeniem się od dzieci i młodzieży koronawirusem. Demonstracja siły ministra Czarnka 26.10.2020 Tygodnik Angora str. 19 Angora, autor: Anton Ambroziak Nie musieliśmy długo czekać, by nowy minister edukacji postawił pierwszy krok ku celowi wyznaczonemu przez prezydenta Andrzeja Dudę na zaprzysiężeniu - rozprawić się z ideologią „liberalno-lewicową”. Już pierwszego dnia urzędowania Czarnek odwołał dyrektora odpowiedzialną za podstawy programowe. „Dzisiaj cały czas w polskim systemie edukacji jest bardzo wiele takich treści, co do których polskie rodziny mają ogromne wątpliwości, czy chciałyby, żeby w ten sposób, takimi treściami były edukowane ich dzieci (...). Moją intencją jest, aby rodzice mieli realny wpływ na te decyzje, które są podejmowane - jakie treści programowe i inne są przekazywane dzieciom na terenie szkoły, a przed którymi rodzice mają prawo swoje dzieci bronić” - mówił 19 października prezydent Andrzej Duda na zaprzysiężeniu nowego ministra edukacji i nauki. I dodał, że problemem każdego szczebla edukacji jest nadreprezentacja ideologii „lewicowo-liberalnych”. Przemysław Czarnek nie czekał długo, by odpowiedzieć na oczekiwania głowy państwa. Choć na Twitterze napisał, że „absolutnym priorytetem od pierwszych godzin w ministerstwie jest organizacja pracy szkół i uczelni w dobie walki z koronawirusem”; to zajął się czymś zupełnie innym. Jak poinformował portal wpolityce.pl, pierwszym krokiem nowego ministra było odwołanie z urzędu dyrektora Aliny Sarneckiej. Urzędniczka kierowała Departamentem Podręczników, Programów i Innowacji. Według portalu braci Karnowskich „w ministerstwie mówiło się też od dawna, że resort niedostatecznie walczy z niebezpiecznymi

treściami znajdującymi się w programach nauczania. Szczególnie kontrowersyjne były treści lewackie oraz te, które kojarzone są z ideologią LGBT. Odwołanie Sarneckiej miało być też ukłonem wobec środowiska oświatowego, które zwracało uwagę na rażące błędy w podstawach programowych i podręcznikach. A jak jest naprawdę? Sarnecka w MEN pracowała od czasu pierwszych rządów PiS, gdy ministrem edukacji była Krystyna Łybacka. Dyrektorką Departamentu Podręczników, Programów i Innowacji została w 2015 roku, mianowana przez Annę Zalewską. Do jej zadań należało przygotowanie programowej części reformy edukacji - koordynacja zmian w treściach programowych i podręcznikach. Od osób, które miały okazję z nią współpracować, słyszymy, że była skromną, neutralną, sumienną urzędniczką. "Trzeba mieć świadomość, że urzędnicy wykonują tylko pomysły ministrów lub gabinetu politycznego. Mają dobrze opisać w przepisach to, co zostało wymyślone wyżej. Jeśli więc minister Zalewska wpadła na pomysł zmiany podstaw programowych, to dyrektor Sarnecka po prostu to realizowała. Karanie urzędnika za inicjatywy ministra to absurd. Może minister Czarnek powinien postawić minister Zalewską przed sądem koleżeńskim" - słyszymy od byłego pracownika MEN. Także Magdalena Kaszulanis ze Związku Nauczycielstwa Polskiego uważa, że zmiany w MEN to "wotum nieufności wobec tego, co robili poprzednicy". Za to Dorota Łoboda, założycielka rodzicielskiego ruchu sprzeciwiającego się PiS-owskiej reformie edukacji, warszawska radna i przewodnicząca stołecznej Rady Edukacyjnej, jest pewna, że przetasowania mają charakter symboliczny. "To nie jest ruch merytoryczny, ale demonstracja siły. Przemysław Czarnek miał za mało czasu, by zweryfikować pracę resortu, dlatego pokazuje raczej, że w resorcie było źle, ale teraz już będzie lepiej i idzie nowe" - mówi OKO.press Łoboda. Kurs na ideologię Trudno uznać, że minister Czarnek może uważać, iż to minister Zalewska odpowiada za "lewicowe" treści programowe, a jej była współpracowniczka będzie się kłaskać rejtanem, gdy ten spróbuje naprowadzić treści na odpowiednie tory. Przypomnijmy, że to z inicjatywy minister Zalewskiej zniknął m.in. obowiązek prowadzenia działań antydyskryminacyjnych w szkołach, a podręczniki do historii zostały przepisane na jeszcze bardziej martyrologiczną narrację o polskiej państwowości. Najwyraźniej dla Przemysława Czarnka zmiany minister Zalewskiej nie były wystarczająco rewolucyjne. Co chyba sam najlepiej wyraził jeszcze przed zaprzysiężeniem w wywiadzie dla Onetu. "Chciałbym, aby pedagogika wstydu raz na zawsze wyszła z naszych podręczników. Nie jesteśmy narodem, który miałby się przede wszystkim wstydić, a nie być dumnym ze swojej historii" - mówił minister. O oczekiwaniach obozu rządzącego wobec nowego szefa resortu świadczą słowa prezydenta Andrzeja Dudy, który podczas wręczenia nominacji mówił o nadmiernej reprezentacji narracji "lewicowo-liberalnej" w polskiej oświacie i nauce. "Niestety, odwołanie urzędniczki odpowiedzialnej za podstawy to komunikat dla fundamentalistów, którzy do tej pory uważali, że MEN jest zbyt liberalne, że wciąż pozwala na nauczanie treści, które - jak to mówił pan prezydent - nie podobają się wszystkim rodzinom" - mówi Łoboda. "Boimy się ideologizacji, bo choć minister zapewnia, że chce z nią walczyć, to czujemy, że jest to tylko dobre hasło reklamowe" - dodaje Magdalena Kaszulanis z ZNP. Odchudzenie podstaw? Niekoniecznie Na pewno nie ma mowy, by ruch Czarnka był, jak pisze portal braci Karnowskich, ukłonem w stronę środowisk oświatowych. Faktem jest, że już od momentu konsultacji nowych podstaw środowiska oświatowe i naukowe domagały się przede wszystkim odchudzenia przeładowanych programów nauczania. Eksperti i nauczyciele wskazywali też na ich archaiczność i encyklopedyczny charakter. Chcieli, by treści dla dzieci i młodzieży zostały unowocześnione i dostosowane do wyzwań XXI wieku. 15 października premier zapowiedział, że w MEN trwają prace nad odchudzeniem podstaw programowych. Celem jest dostosowanie treści do nauki zdalnej. To coś, o czym nauczyciele mówili od kwietnia. Ale zmiana kluczowego urzędnika na pewno nie przyspieszy tego procesu. "Podstawy programowej nie da się odchudzić w tydzień. To nie jest tak, że minister Czarnek weźmie długopis i powykreśla niektóre zagadnienia. A przynajmniej mam nadzieję, że tak nie jest. Potrzebny jest zespół ekspertów. Potrzebne jest skoordynowanie podstaw z wymaganiami na egzaminy zewnętrzne. Przecież arkusze przygotowuje się cały rok. Nie słyszałam do tej pory, by nowy minister zajął merytoryczne stanowisko w tej sprawie. Nie wierzę, że w MEN w ogóle toczą się takie prace. Myślę, że możemy liczyć tylko na dostosowanie treści programowych do światopoglądu ministra" - komentuje Łoboda. Dla środowiska oświatowego ważne są dziś inne kwestie. "Bezpieczeństwo, bezpieczeństwo i jeszcze raz bezpieczeństwo" - mówi Magdalena Kaszulanis. "Na drugim miejscu stawiamy przygotowanie do edukacji zdalnej i tu mieści się już odchudzenie podstaw programowych. Boimy się jednak, że MEN zajmie się majstrowaniem przy treściach, a z prawdziwymi problemami znów zostaniemy sami". Gang Czarnka Minister zajęty jest jednak w pierwszej kolejności meblowaniem nowego gabinetu. Jak informuje Onet, na stanowiskach mają zostać dotychczasowi wiceministrowie: Marzena Machałek i Maciej Kopeć. Ma do nich dołączyć, w randze wiceministra, Dariusz Piontkowski. Czarnek chciałby jednak również sprowadzić na al. Szucha w Warszawie swoich zaufanych współpracowników z Lubelszczyzny. Na giełdzie nazwisk pojawiają się: prof. Mieczysław Ryba - wiceprzewodniczący sejmiku województwa lubelskiego, profesor KUL, członek skrajnie prawicowego Akademickiego Klubu Myśli Społeczno-Politycznej Vade Mecum, a także IPN; radny Tomasz Pitucha - przewodniczący klubu PiS w woj. lubelskim, radny w Lublinie. Wraz z Przemysławem Czarnkiem walczyli o zakazanie tam Marszu

Równości; Radosław Brzózka - były rzecznik prasowy wojewody Czarnka. Dziś członek zarządu powiatu świdnickiego, który jako pierwszy w Polsce przyjął uchwałę „przeciwko ideologii LG BT”;

Fot. Grzegorz Banaszak / Reporter Zmierzamy ku katastrofie 26.10.2020 Tygodnik Angora str. 12 Angora, autor: Ewa Wesołowska Polsce grozi „scenariusz włoski” - ostrzega niemiecki „Die Welt”; - Rząd nie przygotował kraju na ponowny wzrost liczby infekcji. Politycy PiS wydają się nerwowi, a działania rządu chaotyczne. Ale skąd, jaki chaos? Przecież Ministerstwo Zdrowia wysmażyło sześciostronicowy dokument zatytułowany „Strategia walki z pandemią COVID-19. Jesień 2020”, w którym czytamy między innymi o zwiększeniu liczby łóżek szpitalnych, usprawnieniu działania sanepidów, koordynacji ruchu karetek oraz konieczności wysłania dzieci do szkół 1 września. Żal straconego czasu Ze wszystkich tych punktów najsprawniej poszło otwarcie placówek oświatowych, co już miesiąc później okazało się poważnym błędem. Teraz władza wycofuje się pośpiesznie ze swojej decyzji, nakazując coraz to nowym grupom wiekowym powrót do zdalnej nauki. Niestety, nie zrobiono nic, by była ona bardziej efektywna. A obietnice były imponujące. W czerwcu MEN deklarował, że latem przeszkoli 30 tys. nauczycieli z obsługi komputera i programów edukacyjnych, przeznaczając na to 50 mln zł. Nie przeszkolił, nie przeznaczył. Okazuje się, że nawet się nie rozeznał, co szkołom i uczniom jest potrzebne. - Rząd zmarnował ten czas, przede wszystkim nie przeprowadził szybkiego remanentu - co mamy, a czego nie mamy, co trzeba pożyczyć. Trzeba było te 2 mld, które poszły na TVP, zamienić na 2 mln komputerów i mielibyśmy temat załatwiony, aczkolwiek pozostaje jeszcze kwestia zasięgu internetu. Obecnie 2 tys. miejscowości jest pozbawionych dostępu do internetu szerokopasmowego - mieszkające tam dzieci praktycznie nie mają możliwości uczyć się zdalnie - mówi Sławomir Broniarz, prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego w rozmowie z „Business Insider”;. Mamy więc znów tysiące uczniów pozbawionych prawa do edukacji. Rodzice im też nie pomogą, ponieważ tym razem, z uwagi na pustą państwową kasę, nie przewidziano dla nich zasiłków opiekuńczych. Wie Pan, czego mi najbardziej żal? Żal mi straconego czasu. Kazał mi Pan przygotować regulamin funkcjonowania szkoły w czasie epidemii. Zrobiłam to. Gdzie jest Pana regulamin funkcjonowania państwa w czasie pandemii? (...) Przehulał Pan nasz wspólny cenny czas - napisała w liście do premiera Jolanta Gajęcka, dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 2 w Krakowie. Dramat w sanepidzie A jak wygląda usprawniona praca inspektoratów sanitarnych? Niestety, tak samo jak podczas pierwszej fali. I nie jest to wina inspektorów. - Skrajne niedoinwestowanie sanepidu sprawiło, że w niektórych jednostkach - sam to niedawno widziałem - wciąż w użyciu jest kalka. Nie ma komputerów, skanerów, panie przepisują dokumenty przez kalkę! - opowiada główny inspektor sanitarny Jarosław Pinkas. Z kolei Tomasz Kiliński, szef Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Gdyni, mówi dziennikarce portalu natemat.pl, że od początku epidemii pracują nieprzerwanie 7 dni w tygodniu, 24 godziny na dobę. - Są osoby, które pracują po 12 godzin. A także takie, które przychodzą o 7 rano i (...) wychodzą z pracy o 21. W sobotę, niedzielę również. Jest bardzo duże zmęczenie. Bardzo duże przeciążenie. W takim trybie można popracować przez miesiąc. A my pracujemy tak już siódmy miesiąc. Podobno w Gdyni i tak mają komfort, bo są dużą placówką. - W małych stacjach jest dramatycznie. Proszę sobie wyobrazić, że przychodzi informacja, że w szkole są przypadki COVID i trzeba zadzwonić się do rodziców 400 dzieci. Proszę powiedzieć, jak to zrobić? Wywiad z jedną osobą zajmuje co najmniej ok. 15 minut (...). Sanepidy zmieniły się w call center - twierdzi Kiliński. - A trzeba też przygotować decyzje w sprawie kwarantanny. Trzeba uzupełnić wszystkie dane, wpisywać je do tabelki, których dziennie musimy raportować kilkanaście. Robi się to w nocy, gdy jest trochę luźniej. Po godzinie 22 staramy się już nie dzwonić, ale wtedy z kolei dzwonią do nas, bo jest większa szansa, żeby się zadzwonić. Telefony praktycznie cały czas są zajęte, a komuś może się wydawać, że my nie pracujemy, bo nie odbieramy. W Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Chrzanowie ludzie myślą o zmianie zawodu. Pracuje tylko dwie trzecie załogi, reszta poszła na zwolnienia lekarskie, jeden jest na kwarantannie. W budżecie na 2021 rok dla inspekcji sanitarnej przewidziano środki nienotowane dotąd w historii. Mają one sfinansować podwyżki wynagrodzeń, zatrudnienie nowych pracowników i zakupy sprzętu, ale, niestety, wciąż jest rok 2020, więc ci, którzy będą mieli kontakt z koronawirusem przed styczniem, muszą uzbroić się w cierpliwość. O ile wcześniej nie umrą. Bezpieczeństwo jest Zakażonych droga przez mękę nie kończy się na sanepidzie. Następne schody trzeba pokonać, gdy chce się potwierdzić zakażenie. Jeśli ktoś jeszcze nie miał okazji tego doświadczyć, może przeczytać opowieść, jaką zamieściła w mediach społecznościowych pisarka Dorota Masłowska. Koronawirusem zaraziła się od córki. Obie chorowały. Mimo to pracownik przychodni oznajmił matce przez telefon, że nie może liczyć na pana w białym kitlu, który przyjedzie do domu i pobierze wymaz. Do punktu pobrań musi iść sama. „Czy dobrze rozumiem? Czy według państwa polskiego mam zostawić chore dziecko i z gorączką i zakażeniem, kulejąc, kaszląc i kichając - ruszyć (...) na test? Wsiąść do autobusu? Taksówki? Ubera? Czy iść pieszo? Spokojnie rozpylając wokół siebie magic potion ze świadomością, że mam wcale nie tak małą możliwość kogoś zabić? I że za złamanie kwarantanny grozi mi grzywna 30 tys. zł? Nie dowierzam (...). Dzwonię znowu do przychodni (plusik za to, że się dodzwaniam!). Panie zużyły już na mnie wszystkie swoje metody na zakończenie nierokującej rozmowy. Smutne: „Proszę w takim razie może zadzwonić do sanepidu”;. Pojednawcze, ciepłe: „No to może dam pani numer na infolinię do

NFZ?”. Ostateczne: „To nie moje decyzje, ja tylko przekazuję informacje”. Wreszcie ktoś spisuje moją skargę i wysyła do placówki. Przychodzi odpowiedź od kierownika medycznego: „Na badanie pacjentka musi zorganizować transport we własnym zakresie”. „A co z kwarantanną?”. „Pacjentka musi wnieść do sanepidu o uchylenie kwarantanny”. „Ale przecież do sanepidu nie da się nawet dodzwonić?”. „Niech pani dzwoni, może się pani dodzwoni. Niektórzy się dodzwaniają”. Podobne procedury wielu Polaków zaliczyło już wiosną i teraz mogą mieć wrażenie deja vu. Ale przedtem pandemia nas zaskoczyła, dzisiaj kraj jest na nią przyszykowany. Tak przynajmniej do niedawna twierdził rząd. - Na pewno bezpieczeństwo dla pacjentów jest i jesteśmy przygotowani do większej skali zachorowań, której nie należy się dziwić - uspokajał we wrześniu minister zdrowia Adam Niedzielski. Od września jednak wiele się zmieniło. Mamy kilkanaście tysięcy zakażeń dziennie i służbę zdrowia na skraju zapaści. A może już całkiem niewydolną?

Uczymy się z internetu - To katastrofa, którą nikt nie zarządza - mówi immunolog dr Paweł Grzesiowski. - Obserwujemy przecież chaotyczno-lękowo-histeryczne reakcje. Bez długofalowej strategii, tylko rzucanie się w różnych kierunkach, bo na wszystko za późno. Wojewodowie w panice poszukują personelu medycznego, karetki z chorymi jeżdżą od szpitala do szpitala, ewentualnie godzinami czekają przed SOR-em. W raportach wszystko wygląda świetnie - łóżka są, respiratory czekają tylko, by ich użyć. Tymczasem, jak pisał 16 października portal lowicz.naszemiasto.pl, w czwartek starszy pacjent ze zdiagnozowanym koronawirusem z Łodzi musiał być zawieszony aż do szpitala w Radomsku. Dopiero tam lekarzom po wielu telefonach udało się znaleźć dla niego miejsce (...). W piątek wszystkie miejsca dla chorych z koronawirusem zajęte były na oddziałach w Rawie Mazowieckiej, Piotrkowie Trybunalskim, Tomaszowie Mazowieckim. W Bełchatowie zostały ostatnie cztery wolne łóżka, w obsługującym dużą Łódź Zgierzu - 12. Dr Grzesiowski doniósł „Wyborczej”: - Odebrałem dziś telefon ze szpitala powiatowego na Mazowszu. Szukają respiratora dla pacjenta z COVID-19. Nie znaleźli w całym województwie. Mają 24 godziny, potem będzie za późno. Oddziały dla chorych na COVID tworzone są naprędce. Dyrekcja szpitala dostaje rozkaz - wykonać, a sił i środków brak. W Gnieźnie do pracy wzięto chirurgów, bo nie było zakaźników. - Jak leczyć COVID-19, uczymy się z głównie z internetu - wyznają lekarze. W programie „Czarno na białym” pokazano problem poznańskiego szpitala MSWiA. Wojewoda kazał go natychmiast przekształcić w zakaźny. Żeby to zrobić, trzeba by wyrzucić wszystkich chorych, nawet onkologicznych. Pacjenci i lekarze wszczęli bunt. Decyzję odwołano. Radą na brak miejsc będzie szpital polowy tworzony na Stadionie Narodowym w Warszawie, a także inne „polówki” na terenie całego kraju. Gdzie staną, jeszcze nie wiadomo, superstrategia rządowa chyba ich nie przewidziała. Mają dysponować nawet 80 tys. łóżek. Tylko czy meble uzdrowią chorych? - Już nieżyjący minister zdrowia Zbigniew Religa kiedyś powiedział: „Z samymi łózkami to możemy burdel otworzyć, a nie klinikę kardiochirurgii”. W tym przypadku jest analogicznie - mówi wirusolog dr hab. Tomasz Dzieciatkowski. - Do obsługi łóżek szpitalnych są potrzebni wykwalifikowani ludzie, a my ich nie mamy. A to niespodzianka! Ale nie szkodzi, raz dwa wyszkolimy. - Minister zdrowia wydał dyspozycję o uruchomieniu szkoleń personelu pielęgniarskiego do obsługi respiratorów i pomocy w opiece nad chorymi na COVID-19 - poinformował rzecznik MZ. Niestety, lekarze uświadamiają, że leczenie respiratorem nie sposób nauczyć się w kilka dni. - Jako służba zdrowia jesteśmy przyparci do muru, staliśmy się niewydolni - twierdzi w TVN24 prof. Krzysztof Simon z Kliniki Chorób Zakaźnych i Hepatologii Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. - Pielęgniarka nie może pracować 30 dób w miesiącu, lekarz nie może pracować co dwa dni na 24-godzinnej dyżurze, bo chorują, bo mają rodziny, bo nie wytrzymują nerwowo, część jest w wieku przedemerytalnym. Straciliśmy cztery miesiące na jakieś pogaduszki, na LGBT, na kłócenie się ze wszystkimi sąsiadami i tak dalej. Proszę mi powiedzieć, gdzie powstały szpitale rezerwowe (...), gdzie przeszkolono do tego czasu załogi, które byłyby rezerwowe? Pytanie zaiste retoryczne. Bez zaplecza, bez mózgu Władza broni się przed zarzutami, zwalając winę na kogo popadnie. Rzecznik Ministerstwa Zdrowia sugeruje, że zawinili naukowcy, którzy nie przewidzieli tak dużego wzrostu zakażeń. Minister aktywów państwowych Jacek Sasin robi nagonkę na medyków, ogłaszając, że część lekarzy nie chce wykonywać swoich obowiązków. Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla „Gazety Polskiej” oskarża nienazwane z imienia media (Bardzo krytycznie patrzę na artykuły prasowe, które przekonują ludzi choćby do tego, że noszenie masek jest bzdurą), zapominając, że jeszcze dwa miesiące temu sam prezydent, paradując po Krakowie z odkrytą twarzą, przyznawał: - Nie każdy może, nie każdy lubi je nosić, a ówczesny minister zdrowia mówił, że premier maski nie zakłada, bo zostałby zaraz oskarżony o nadmierną demonstrację. No tak, lecz wtedy według Mateusza Morawieckiego epidemia była w odwrocie, choć pierwszy wzrost zgonów pojawił się właśnie w sierpniu, a kolejny we wrześniu. Wówczas to nie rząd, lecz media objawiały niepokój. TNV24 zaczął wypytywać ekspertów z Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego, co się dzieje, a eksperci uspokajali - trudno jeszcze mówić o jakimś trendzie, trzeba czekać. W październiku czekać już się nie dało, chyba że na cud, ale on nie następował. Wręcz przeciwnie - krzywa zakażeń za żadne skarby nie chciała się wypłaszczyć. Uparcie pięła się w górę, bijąc coraz to nowe rekordy. Wtedy władza zaczęła działać. Senator PiS, lekarz Stanisław Karczewski, zalecił jedzenie jabłek jako remedium na wszelkie choroby. Premier w Sejmie zaapelował o solidarność, wyciągnął rękę do zgody w stronę

opozycji i zmusił się do wyznania: - Jeśli popełnialiśmy jakieś błędy, to się do nich przyznajemy. W orędziu do narodu, wygłoszonym 23 października, Morawiecki powiedział, że w walce z koronawirusem wybrał optymalne rozwiązania. Jednak teraz, kiedy mamy już katastrofę, a prognozy przewidują 20-30 tys. zakażeń dziennie, mało kto sądzi, że władza wymyśliła jakąkolwiek strategię. - Wszystko, co robi rząd w sprawie walki z epidemią, wynika z bezsilności, braku przemyślenia, braku planów. Nie wierzę w żadne słowo, żaden plan premiera Mateusza Morawieckiego - oświadcza Włodzimierz Czarzasty. - Ten człowiek po prostu funkcjonuje bez żadnego zaplecza i bez żadnego mózgu. Osąd wicemarszałka Sejmu jest zgodny z odczuciami większości rodaków. Na zlecenie „Rzeczpospolitej” SW Research przeprowadził sondaż, pytając: Czy Pani / Pana zdaniem rząd dobrze przygotował Polskę i Polaków na drugą falę epidemii koronawirusa? 59,9 proc. respondentów odpowiedziało zdecydowanie: Nie.